

# Stanisław Szmidt

---

## Losy Polskiej Misji Salezjańskiej nad Górnym Orinoko na podstawie korespondencji ks. Wojciecha Stanisława Paszendy

---

Seminare. Poszukiwania naukowe 20, 465-478

---

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.

KS. STANISŁAW SZMIDT SDB

LOS Y POLSKIEJ MISJI SALEZJAŃSKIEJ  
NAD GÓRNYM ORINOKO  
NA PODSTAWIE KORESPONDENCJI  
KS. WOJCIECHA STANISŁAWA PASZENDY

Ksiądz Wojciech Stanisław Paszenda SDB (1931–1998) po ukończeniu normalnej drogi salezjańskiej do kapłaństwa, uwieńczonej święceniami 23 czerwca 1957 r. w Katowicach i studiach języków klasycznych w Poznaniu w latach 1961–1965, pracował krótko jako nauczyciel języków klasycznych w seminarium i w szkole w Oświęcimiu<sup>1</sup>. W 1968 r. zrodziła się myśl wyjazdu na misje: „Dlaczego pojechałem do Wenezueli? Po prostu dlatego, że dostałem paszport [...] Zaczęło się pewnego wiosennego dnia 1968 roku. Ni stąd ni zowąd uświadomiłem sobie że zgrozą, że się starzeję [...]. Mijał trzydziesty siódmy rok życia. Lata zwyczajne, łatwe i mało warte. Wbrew doświadczeniu, które poucza, że umierają zawsze inni, a nigdy ja, nie miałem wątpliwości, że kiedyś także na mnie przyjdzie kolej zdać sprawę z włodarstwa przed Panem Bogiem. I kto wie, może już niedługo? Muszę więc coś jeszcze w życiu zrobić. I to zaraz, póki jeszcze nie jest za późno. Postanowiłem pojechać na misje. W nadziei, że tam łatwiej będzie zrobić na niebo. I pojechałem. Nie, żeby szukać przygód, bo na to już jest em za stary. Ale żeby dać z siebie maksimum wysiłku, złożyć pełną ofiarę i odrobić zaległości minionych lat. [...]”<sup>2</sup>.

Pierwsze dwa lata (1969–1971) spędził ks. Wojciech w Los Teques, pogłębił znajomość języka hiszpańskiego i równocześnie uczył w gimnazjum, a potem w małym seminarium łaciny i historii. Był też bibliotekarzem. Pisał do najbliższych: „Nie jestem w dżungli. Zanim dotarłem do Wenezueli, zostałem przeznaczony do Los Teques. Są tu trzy zakłady salezjańskie: Niższe Seminarium, Kolegium (czyli

---

<sup>1</sup> Por. Karta personalna w Domu Generalnym – Anagrafica Salesiana Centrale – 51B120 P oraz dane personalne w Archiwum Inspektorialnym w Krakowie (brak oznaczeń).

<sup>2</sup> Por. ks. W. Paszenda, *Świat nie jest aż taki wielki* (masz.), Los Teques 1970 r. s. 1. Wszystkie listy zawdzięczam rodzeństwu ks. Wojciecha.

ostatnie klasy szkoły podstawowej i niższe szkoły średniej) oraz Liceum (ostatnie trzy klasy przed maturą). W Seminarium jest ks. Parciak, w Kolegium – ks. Smaruj, a w Liceum jeszcze nie było Polaka, więc mnie tu przydzielono. Mam uczyć łaciny”<sup>3</sup>.

Praca ta zaowocowała wprawdzie bogatą korespondencją do rodziny, drukowaną też częściowo w „Gościu Niedzielnym” i „Nostrze”, ale nie dawała mu satysfakcji misyjnej. Po staraniach u przełożonych znalazł się ks. Wojciech na prawdziwych misjach nad Górnym Orinoko.

„Od 15-go sierpnia 1971 roku jestem w dżungli. Najpierw posłano mnie na miesiąc na zastępstwo, polecając mi nic nie zabierać ze sobą. Dżunglą to nawet i tu, w Wenezueli straszą. Że klimat zabójczy, że serce, że wątroba, że malaria, zmije, moskity, przymieranie głodem, obrzydliwi Indianie itd. Koledzy mówili mi: coś ty? Na miesiąc? Ty ani dwóch tygodni nie wytrzymasz. Ale pojechałem. Bo już przedtem straciłem wiarę w ludzkie gadanie. Tak się złożyło, że ten miesiąc przeciągnął się do dwóch z hakiem, a tymczasem posłałem podanie o pozostawienie mnie na stałe w dżungli. Zaakceptowano. Pojechałem tylko po moje »ubóstwo« i siedzę tu do dzisiaj. Daj Boże, by mnie tu zostawiono dłużej.

Jestem na samym południu Wenezueli, jakieś tysiąc km od stolicy, w dżungli zwanej Amazonas, blisko granicy brazylijskiej. I oczywiście nad Orinoko. Ta część dżungli amazońskiej, która leży w granicach Wenezueli, stanowi Wikariat Apostolski, o powierzchni prawie jak pół Polski, obsługiwany przez samych Salezjanów.

Indianie są tu różnych ras i języków, o subkulturach całkowicie różniących się od siebie nawzajem. Większość grup etnicznych już oswoiła się z cywilizacją. Pozostają na samym południu Indianie chlubiący się nazwą Yanomaö, co w ich języku znaczy „ludzie”. Zdaniem niektórych nie-Indian są oni *incivilizabiles* (nie cywilizowalni). Osobiście tego zdania nie podzielam. Owszem, są oni mocno odmienni od swych sąsiadów i mało podatni na jakiegokolwiek oddziaływanie z zewnątrz. Nie mają organizacji państwowej ani rodowej. Są absolutnie wolni. Nawet dziecko nie musi słuchać ojca. Kacyk znaczy tyle, ile warta jest jego osobowość.

Usiłują praktykować wielożeństwo, ale bezwstydnym los sprawia, że rodzi się więcej chłopców niż dziewczynek. Stąd ich wojny [...] Nie noszą szyszaków z piór. I wcale nie są czerwonoskórzy. Owszem, malują się na czerwono, czasem całe ciało. Bez względu na wiek i płeć mają wygoloną autentycznie mniszą tonzurę.

Chodzą kompletnie nago [...] Nam nudyzm kojarzy się z niemoralnością. Im nie! Ale aniołami nie są. Żyją po kilkadziesiąt osób w okrągłym (najczęściej) sziabono z grubej warstwy liści palmowych. Jest to wysoka, pochyla ściana. Środek otwarty (plac pod gołym niebem). Wszyscy się nawzajem widzą. Brudno to u nich jest, trudno zaprzeczyć. Są na półkoczownikami. Niektórzy uprawiają plata-

<sup>3</sup> Por. *List okólny*, Los Teques, 30 X 1969 r.

ny. Ale co to za uprawa! Pożal się Boże! Rzeczą codzienną wśród nich jest rozwalanie sobie głów [...].

Życie Indian nie jest zbyt rozkoszne, ale oni są szczęśliwi, pełni humoru, beztroscy. Chyba że trafi się choroba, na którą nie skutkują zaklęcia czarownika. Wówczas misja okazuje się przydatna. Zdarza się, że sam czarownik przychodzi prosić o zastrzyk. Zmarłych palą. Kości tłuką na proszek i jedzą je z platanami na stypie pogrzebowej. Kobiety przez szereg miesięcy noszą żalobę na twarzy. Są to łzy posypane popiołem. Dzieci są takie same jak w Polsce. Tyle, że w Polsce trudno byłoby znaleźć tak rozkoszny uśmiech i tak figlarne oczy.

Klimat jest tu mokry. Pierwszej nocy po moim przyjeździe w ciągu 4 godzin napadało 95 ml. Sześć takich deszczyków i mamy przeciętną całorocznych opadów w Polsce. Luty i marzec to pora sucha. Tak zwana. W tej chwili jest luty i w najlepsze leje. Ale było już parę dni bez deszczu.

[...] Marzę o tym, by zostać misjonarzem. Takim prawdziwym, który nawracałby na wiarę chrześcijańską. Bo tu nawracamy bezpośrednio z tradycyjnego pogaństwa na neopoganizm. Zawdzięczamy to turystom z Wenezueli i z całego świata, którzy przybywają tu ciekawi, jak wygląda człowiek taki, »jak go Pan Bóg stworzył«. Będzie tych ciekawskich coraz więcej, bo sprzysiężone z diabłem Ministerstwo Robót Publicznych buduje przy naszej misji plac startowy dla samolotów. Mojemu towarzyszeni i szefowi, sangwicznemu Hiszpanowi, marzy się tu wielkie, wzorowe osiedle. Entuzjazmuje się przeto lotniskiem.

Ja marzę o tym, by zostać misjonarzem. Udać się do dżungli niedostępnej dla cywilizacji.

Podobno jakieś sto kilkadziesiąt kilometrów w górę Orinoco jest wodospad, który uniemożliwia dalszą żeglugę. A dalej też żyją Indianie, ci tak sympatyczni, choć trudni, Yanomamó<sup>4</sup>. Gdybym tam mógł osiąść! Ale na to potrzebuję przede wszystkim motoru do kanoy. O wiosłach najwyżej zdołam przepłynąć rzekę w poprzek. A benzyna, którą w Caracas dostaje się za grosze, tu w dżungli, jest sprzedawana na wagę złota. Jaka szkoda, że polskie złotówki tu się nie liczą<sup>5</sup>.

Misje te założył salezjanin ks. Ligi Cocco (1910–1980), który w 1957 r. nawiązał kontakt z Janomami i zamieszkał wśród nich, tworząc Santa Maria de los Guaicas<sup>6</sup>, pierwszą placówkę misyjną nad Górnym Orinoko. Gdy przybył tam ks. Paszenda, salezjanie prowadzili nad Orinoko trzy placówki: „Mamy wśród nich trzy misje: Okamo, Mavaka i Platanał w odległości mniej więcej po 50 km. Wszystkie nad Orinoco [...].

Poznałem te trzy misje. W Okamo spędziłem kilka dni, a Mavaka kilka tygodni, a w końcu zostałem przeznaczony na stałe do Platanał. Jest to placówka naj-

<sup>4</sup> Zachowano pisownię ks. Paszendy, choć w literaturze polskojęzycznej używa się „Janomami”.

<sup>5</sup> Ks. W. Paszenda, *Muzy nie docierają za ocean*, „Gość Niedzielny”, 41, 1972, nr 17, s. 131–132.

<sup>6</sup> Por. L. Coco, *Parima, dove la terra non accoglie i morti*, Roma 1975 r., por. też: ks. B. Rozmus, *Wśród szczepu Yanomami*, Warszawa 1985 r.; S. Szmidt, *Salezjanie w Wenezueli*, w: „Collectanea Theologica”, 66 (1996), nr 4, s. 196–199.

bardziej posunięta w górę Orinoco. Do równika stąd niedaleko. Do Caracas natomiast mamy tak, jak z Warszawy do Paryża. W Okamo jest już lotnisko, jeśli tak można nazwać wykarczowany i wyrównany teren dżungli. Przy sprzyjających warunkach atmosferycznych mogą tam lądować samoloty. Brak jednak stałej komunikacji samolotowej. Jedynie raz po raz przylatuje samolot dowożący prowiant dla obsługi punktów meteorologicznych. Jeśli pilot ma humor i miejsce w samolocie, może zabrać misjonarza lub przywieźć jakiś bagaż. Przewozi też nasze listy i zdarza się, że nieraz nawet nie zapomni ich wysłać<sup>7</sup>.

O nawracaniu tych właśnie Indian – jak sam pisze – na razie nie ma mowy. Trzeba odczekać jedno lub dwa pokolenia, aż się trochę ucywilizują. Co zatem robi ks. Paszenda?

„Całe przedpołudnie naprawialiśmy lodówkę (naftopędną)”<sup>8</sup>. „Dzisiejsze przedpołudnie strawiłem na malowaniu drzwi frontowych na kolor czerwony. W poprzednich dniach pomalowałem na czerwono parę stolików i krzeseł. Dlaczego na czerwono? Bo taką farbę przywieziono w ostatnim transporcie, choć prosiliśmy o inną. Tę właściwą może dostarczy nam następny transport za jakiś miesiąc lub dwa. Jeszcze dawniej otrzymaliśmy farbę bezbarwną. Malowałem więc drewniane sufity w całym domu [...] A jeszcze dawniej, parałem się zajęciem hydraulika. Ciąłem rury, wyrzynałem gwinty, smarowałem, skręcałem, rozkręcałem i kłamałem na sedesy, kurki i natryski. Mój szef, to mu uznaję, dokonał chwalebного dzieła sprowadzając wodę z pobliskiego wzgórza. Jest prawie jak źródłana, leci sama, gratis i nigdy jej nie brakuje. [...] Byłoby jednak błędem podejrzewać, że nie wypuszczam z ręki pędzla i klucza francuskiego.

Raczej muszę przyznać, że na zajęcia misjonarza budowlanego niezbyt wiele pozostaje mi czasu. Od rana do nocy nie milknie wołanie: Pale Masiejtaaaa!!! (tak pewne dziecko wymawia »padre Paszenda« i ta forma dosyć ogółowi odpowiada). O co chodzi? Na ogół świat się jeszcze nie wali, tylko ten potrzebuje kawałek drutu, tamten chce pożyczyć obciążki, ów prosi o parę gwoździ, inny przynosi patyczki do krzesania ognia i pragnie wymienić je na cywilizowane zapalki, jeszcze inny (Yanomamö to urodzeni aktorzy) wciąga głęboko brzuch i konającym głosem skamle »ja ochi« (że niby głodny). W takich wypadkach udaję Greka i, wykorzystując grę słów, pytam »Kache mochi?« (Jesteś leniem?).

Są też tacy, co pracują przy budowie lotniska za parę nędznych boliwarów i przychodzą kupić za to Bóg wie co i ile. A wszystko z misjonarzem, bo kogo innego nie ma. Druga kategoria to chorzy. Tego pogryzła cziwakoa (stworzonko niedostrzegalne gołym okiem, ale jakże złośliwe – sam doświadczyłem) i trzeba mu natrzeć tyłek spirytusem, ten skaleczył się siekierą, ów ma grypę, zakaszlały i zasmarkany, to znów dzieciak z biegunką (gdybym nie wierzył, zostawi dowód rzeczowy w infirmerii), temu trzeba wlepić zastrzyk penicyliny, tamtej w pora-

<sup>7</sup> Por. *List okólny*, Platanal, 4 XI 1971.

<sup>8</sup> Por. List do ks. Zdzisława Paszendy, Platanal, 5 XI 1971 r.

chunkach rodzinnych małżonek rozwalił łepetynę, i »da capo al fine«. Może dałoby się jakoś tych Indian przyzwyczaić do poszanowania cudzego czasu i przestrzegania jakichś norm i porządku dnia. Nie wiem»<sup>9</sup>.

Do ks. inspektora Dzięziela w Krakowie pisze: „My też pracujemy, jak możemy, ale nie jest nam dane poszczycić się tak wspaniałymi wynikami. – Gleba tu nieurodzajna i klimat liberalizmu kapitalistycznego nie sprzyja pracy duszpasterskiej.

Na zewnątrz wygląda pięknie: buduje się Kościoły, prowadzi prywatne szkoły katolickie, organizuje zebrania. Ale wewnątrz próchno pogaństwa. Podobnie na niektórych misjach. Misjonarze torują drogę przez dżunglę, a za nimi wciśka się współczesny indyferentyzm religijny, wyposażony w potężne środki oddziaływania na człowieka. Przykro pomyśleć, że nawracamy Indian bezpośrednio z pogaństwa tradycyjnego na nowoczesne. Ale świadomość, że nad tym wszystkim jest jeszcze Pan Bóg dodaje chęci do pracy.

O naszej pracy, zwłaszcza o Indianach, w Polsce nikt nie ma właściwego pojęcia. Nie ma się czasu dla siebie. Jeśli potrzeba kawałka sznurka czy drutu, to kto ma to poszukać, tylko misjonarz! Do najbliższego sklepu mamy stąd dobrych 800 kilometrów. Nie ma ani autobusu, ani samolotu, ani nawet drogi»<sup>10</sup>.

„Dzień 1 maja był dla mnie świętem. Tego dnia, pod wieczór zjawił się w Platanalu dawno oczekiwany transport [...]. Nie dostarczono wielu zamówionych, nawet to, że nie przywieziono specjalnej karmy dla kur. A nasze kury są kapryśne. Gdy nie da im się owej »ponariny« nie składają jajek. Będziemy musieli obejść się bez tego podstawowego dla mojej egzystencji wiktuału przez jakieś dwa miesiące.

Ażeby czegoś dokonać na misjach, oprócz zdrowia, sił, upoważnienia przełożonych i sprzyjających okoliczności potrzeba także środków materialnych. Jestem więc wdzięczny na pierwszym miejscu Tobie, Zdzisławie, za chętnie pośrednictwo, organizowanie pomocy dla naszej misji, finansowanie szeregu moich potrzeb, jak za życzliwe dzielenie się moimi listami z innymi [...].

Lekarstwa pewnie już nadeszły, choć nie mam jeszcze na ten temat wiadomości. Nie orientowałem się, że także na wysyłkę leków nakłada się cło. W Wenezueli jest bardzo wysokie cło na lekarstwa przysyłane (100% wartości według niesłychanie wysokich cen wenezuelskich). Ambasador PRL obiecał mi załatwić zwolnienie z cła.

Dwie książki z zakresu medycyny: *Chirurgia dla pielęgniarek* i *Zarys chorób wewnętrznych* otrzymałem [...]. Obie książki wraz z dwiema broszurkami, jakie mam w języku hiszpańskim, obejmują chyba wszystko, co powinienem wiedzieć. Potrzeba mi jeszcze praktyki i dyplomu pielęgniarskiego, który może uda mi się uzyskać w czasie wakacji na jakimś kursie.

<sup>9</sup> Por. ks. W. Paszenda, *Muzy nie docierają...*

<sup>10</sup> List do ks. inspektora A. Dzięziela, Platanal, styczeń, 1972 r., „Nostra”, 27 (1972), nr 3, s. 14–15.

Prosiłem Cię o jakieś pomoce z dydaktyki. Chodziło mi o to, że nie mam wprawy w uczeniu dzieci, bo prawie przez całe życie miałem do czynienia z klerykami. Dzieci indiańskie nie są wcale mniej inteligentne od innych, ale przyswajanie przez nich podstawowych wiadomości szkolnych jest trudniejsze ze względu na to, że od razu uczą się w obcym języku, a po drugie, że w swoim środowisku nie spotykają się ani z książką czy jakimkolwiek choćby najprymitywniejszym sposobem zapisywania czegoś, ani też z pojęciem liczby, bo Yanomamö liczą tylko do dwóch, a reszta to »dużo« [...]

Nasze misje istnieją już od 12-tu lat i co w tym czasie zrobiono? Ja też doznałem rozczarowania. Podobne pytania stawiałem przed wyjazdem do dżungli. Chciałem wiedzieć, co tam mam robić, do jakiej konkretnej pracy muszę być przygotowany. Mówiono mi: przede wszystkim nauczyć się języka hiszpańskiego. W rzeczywistości nikt nie znał odpowiedzi na moje pytania, nikt mi nie potrafił na nie odpowiedzieć. Nie ma żadnego absolutnie planu naszej pracy misyjnej. Każdy misjonarz próbuje na własną rękę, według własnych możliwości i umiejętności. Ksiądz biskup nie daje żadnych wytycznych. Nie zna tutejszych Indian (tych Yanomamö), a reguły odnoszące się do pracy wśród innych grup etnicznych naszych misji, tutaj się nie sprawdzają. Gdyby zapytać każdego z misjonarzy, czego dotąd dokonał, pewnie pokazałby najpierw, co wybudował. Są to w rzeczywistości przeważnie rudery, ale trzeba przyznać, że powstawanie ich kosztowało niemało wysiłku, wzięwszy pod uwagę, że misjonarze byli pozostawieni własnym siłom, nie mieli pomocy wykwalifikowanych robotników, nie mówiąc już o jakimś budowniczym, a ponadto na paczkę gwoździ trzeba nieraz czekać całe miesiące i robota stoi. Ale widać też inne ślady pracy misjonarzy. Wielu Indian rozumie już jako tako hiszpański i niektórzy potrafią nawet sklecić dosyć karykaturalne zdania. Mają zaufanie do lekarstw, a nawet sami proszą czasem o zastrzyk. Przyzwyczaili się do używania niektórych rekwizytów ze świata cywilizowanego, jak siekiery, noże, garnki, latarki, zapalki itp. Wielu nauczyło się polować z broni palnej. Umieją już łowić ryby na wędkę. Czasem się nawet ubierają, a niektórzy, zwłaszcza młodzież męska, już stale noszą przynajmniej coś, co można by nazwać mini – mini-kalesonami. Tam, gdzie systematycznie od paru lat prowadzi się szkołę, szereg dzieci umie czytać, pisać i liczyć. Powoli także wsiąkają w ich umysły wiadomości religijne, choć to idzie znacznie oporniej. Trudno się dziwić: wpajają im pojęcia, o których nigdy „nie mieli pojęcia” i do tego w obcym języku. Na zupełne przeobrażenie tych ludzi trzeba jednak czekać ze dwa pokolenia. Może, gdyby praca misyjna była lepiej zorganizowana, wyniki byłyby już bardziej dostrzegalne.

Wiele jednak rzeczy mnie samemu się nie podoba. Zwłaszcza różnię się z ks. Gonzalezem w poglądach na sprawę misji. Jego zdaniem misje wśród Yanomamö to syzyfowa praca. Przyszedł tu niezbyt chętnie, tylko z posłuszeństwa przełożonego. Uważa, że jedynym sposobem cywilizowania i chrystianizowania tutejszych Indian jest zbudowanie wśród nich osiedli dla ludzi już cywilizowa-

nych, tak by Indianie miesza­li się z nimi i stopniowo z­tra­ci­li swo­ją odręb­ność. Stąd też ks. Gon­za­lez całe serce wkła­da w lot­ni­sko przy­go­to­wa­ne przez Mi­nis­te­r­stwo Robót Pub­licz­nych, bo w tym widzi przy­sz­łość misji. Chce da­lej kar­czo­wać dżung­łę, bu­do­wać chaty, spro­wad­zać lu­dzi. Moim zda­niem jest to prze­kre­ś­le­nie misji. Przy­bysze wraz z cy­wil­i­za­cją spro­wad­zą de­mor­a­li­za­cję. Odbiorą In­dia­nom sro­dki do ży­cia. Zwier­zyny i ryb nie jest zbyt wiele. Odbiorą im też moż­li­wość za­robku, bo pra­cy, zwa­sz­cza dla rąk niekwa­li­fikow­anych, pra­wie nie ma. In­dia­nie z w­ład­ców dżungli sta­ną się po­gar­d­za­nym pro­le­ta­ri­a­tem. Chry­stia­ni­za­cja w ta­kich wa­run­kach bę­dzie znacz­nie trud­niej­sza niż obec­nie. Do in­wa­zji świa­ta cy­wil­i­zo­wa­nego na teren dżungli i tak kie­dyś dojdzie, może na­wet nie­długo. Uwa­żam, że misjo­narze nie po­win­ni tego przy­spie­szać, ale przy­go­to­wać In­dia­na na ten szok, by w mo­men­cie fron­tal­nego zder­ze­nia się z cy­wil­i­za­cją by­li rów­no­rzęd­nymi part­ne­ra­mi. I je­śli przed­tem nie sta­ną się chry­ści­ja­na­mi, to po­tem już chy­ba nigdy.

Pły­nąc w górę Ori­no­ko można do­trzeć do szere­gu osad in­diań­skich. Jedni mieli już pew­ne kon­tak­ty z misją (ci bliż­si), bo misjo­narze tam cza­sem zja­wia­li się. Od­wie­dzali ich rów­nie­ż tu­ry­ści. Ale im da­lej, tym więk­szy pry­mi­tyw. Ja, nie­stety, do­ta­d nie­zbyt da­leko mog­łem się u­dać, bo nie dys­po­nu­ję ło­dzią z mo­to­rem. Za­pro­po­no­wa­łem jed­nak prze­ło­żo­nym, by mnie prze­zna­czo­no do pra­cy dla tych wła­śnie In­dia­na, któ­rzy do­ta­d żyją po­za w­pły­wa­mi misji. Przy­pu­sz­cza­m, że by­ło by tych In­dia­na do­brze po­nad tysiąc osó­b. (Na­sze 3 misje o­bej­mu­ją łą­cznie jak­ieś pół tysią­ca). Tra­sa wy­no­si­łaby gdzieś do 200 km. Unik­nął­bym zu­ży­wa­nia en­er­gii na cią­głe bu­do­wy, gdyż musiał­bym być nie­ustan­nie w po­dró­ży, od­wie­dzając osadę po osadzie. Miesz­kał­bym w pi­rodze, a spał w ha­ma­ku: mi­ędzy dwoma drze­wa­mi. Ale przede wszy­st­kim muszę mieć tę pi­ro­gę (łó­dź wycio­sa­na z jed­nego pnia) i dwa mo­to­ry. Dwa, bo po dro­dze nie ma nig­dzie warsz­ta­tu ślu­sa­r­skiego i gdy mo­tor się ze­psu­je, trzeba by szereg dni wios­ło­wać, by dopły­nąć do misji. Koszt tego sro­dka lo­ko­mo­cji wy­no­sił­by co naj­mniej 1300 do­la­rów. Książ­d­z biskup na mo­ją pro­po­zycję za­sta­wiał się brakiem per­so­ne­lu, że ni­by jest­em po­trze­bny gdzie in­dzie­j. Ale pew­nie nie chce też par­ty­cy­po­wać w kosztach, bo wła­śnie za­czy­na się bu­do­wa drugiego in­ter­na­tu dla in­diań­skich chłopców. Je­ze­li zdo­bę­dę jak­imś cu­dem pół­tora tysią­ca do­la­rów, mogę mar­zyć o zreali­zo­wa­niu moich pla­nów. Ale je­śli nie , to nic z tego nie bę­dzie”<sup>11</sup>.

Z niezado­wo­le­nia z do­tych­cza­so­wej pra­cy mi­syj­nej zro­dził się po­mysł utwo­rze­nia „polskiej misji sa­le­zjań­skiej” wśród Jano­ma­mi. Od po­mysłu prze­szedł ks. Woj­ciech do czynu. W liście z 27 lis­to­pa­da 1972 r. pi­sał do Kra­kowa o roz­po­czę­ciu na ra­zie sa­mo­dziel­nej pra­cy wśród Jano­ma­mi:

„Nie usied­zia­łem w El Pla­ta­nal, gdzie miał­em dach nad głową, »wikt i opie­runek«. Wnio­sem po­da­nie o po­zwo­le­nie mi na pra­cę wśród In­dia­na Ya­no­ma­mó, żyją­cych po­za za­się­giem na­szych misji. Wb­rew prog­no­zom mój plan został za­twier­dzo­ny.

<sup>11</sup> List do ks. Zdzisława Paszendy, Platnal, 14 V 1972.



Odbyłem więc kurs pielęgniarstwa w Achaguas w stanie Apure, a następnie praktykę w szpitalu w Puerto Ayacucho. Obecnie, od paru tygodni, »kompletuję« to, co niezbędne do wyprawy w dżunglę. Zamiast »kompletuję«, powinienem powiedzieć »zebrzę«. Beznadziejność sytuacji wyraża pytanie, jakie postawił mi pewien emigrant z Kuby. Dlaczego Pan Bóg daje zamożność tylko skąpcom?

[...] Szukam teraz samolotu, który by zawiózł mnie z moim ciężkim ekwipunkiem do dżungli. Dotąd nie mam na to żadnych widoków, ale wierzę, że i ten cud się stanie. Gdybym dysponował sumą 900 (dziewięćset) dolarów, mógłbym wynająć lot do Okamo.

Zrozumienie dla moich planów misyjnych napotkałem w Ambasadzie PRL w Caracas. Sam Pan Ambasador, prof. dr Witold Jurasz, osobistą interwencją w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Wenezueli uzyskał dla mnie zwolnienie od cła przesyłek przychodzących z Polski na rzecz misji. Załączam kopie odnośnych pism. Zapewnił też, że postara się o ułatwienia w kraju. [...]

A oto program mojej pracy: Bazę wypadową będę miał w El Platanal, najbardziej na południowy wschód wysuniętej wenezuelskiej placówki misyjnej wśród Indian Yanomamö. Stamtąd będę odbywał podróże w górę Orinoco, Jeśli uda mi się pokonać niezegłowne odcinki rzeki, moja trasa osiągnie może jakieś 200 km długości. Jedna wyprawa potrwa do dwóch tygodni. Na noc zawieszę hamak między drzewami, karczując uprzednio zarośla i apelując do honoru jaguaron, żmijom i szcukrom, by miały respekt dla misjonarza. Będę odwiedzał dostępne osady indiańskie, starając się nawiązać pokojowe kontakty z poszczególnymi szczepami. Niektórzy z tamtejszych Yanomamö pewnie znają ludzi cywilizowanych tylko ze słyszenia. Prace zacznę od pomagania czarownikom w wypędzaniu z chorych »złych duchów«. Uzbierałem już sporo lekarstw. Następnie będę starał się przekonywać, że »złe duchy« na ogół stronią od mydła i wody, że za nadwyżkę z uprawy bananów można uzyskać nóż czy siekiere, że kto umie liczyć, tego tak łatwo nie oszukają turyści itp.

W miarę przyswajania sobie języka yanomamö będę próbował korygować i uzupełniać ich wierzenia. Chrzcic jednak nie będę, chociaż, wody jest w Orinoko pod dostatkiem, a Yanomamö pozwoliliby się chrzcic trzy razy na dobę (zwłaszcza za garść manioko). Nie podzielam bowiem dosyć powszechnego w dzisiejszych czasach przekonania, że chrześcijaninem jest ten, kto – naturalnie – jest ochrzczony i »lubi chodzić do kościoła«. Zanim Yanomamö staną się rzeczywiście chrześcijanami, musi upłynąć bardzo wiele wody w »Wielkiej Rzece«. Będą chrzcic nasi następcy. W XX czy w XXI wieku? Nie zaglądamy Panu Bogu do kalendarza.

W dalszych planach mam założenie nowej stałej placówki misyjnej na terenach, jakie zamierzam obsługiwać. Na to jednak potrzeba będzie wiele środków ekonomicznych, o których dzisiaj nie mogę marzyć nawet we śnie. Będę potrzebował również dwóch, podobnie jak ja, szalonych współpracowników, bo ostatnia Kapituła tutejszej Prowincji zabroniła otwierania placówek misyjnych z jednym

misjonarzem. Na takiej misji ma być trzech salezjanów. W Wenezueli jest to mało realne. Liczę na to, że w Polsce znajdzie się dwóch ochotników, »szalonych«, jak się wyraziłem, bo w naszej pracy misyjnej nie będziemy dysponowali niczym, prócz pozwolenia Przełożonych i tego, czym nas Opatrzność obdarzy. Ale Pan Bóg przecież nie jest skąpy»<sup>12</sup>.

„Do ks. Inspektora – pisał do Krakowa – mam jeszcze jedną prośbę. Mianowicie, by zechciał odstąpić mi dwóch Współbraci o duchu misyjnym. Mam obietnicę tutejszego Inspektora, ks. Velasco, że jeśli sprowadzę z Polski nowych misjonarzy, misja w górnym odcinku Orinoko będzie powierzona wyłącznie Polakom. Będzie to misja bardzo trudna, tak ze względu na to, że chodzi o Indian zupełnie obcych cywilizacji i niezbyt skłonnych do zmiany trybu życia, jak i z powodu odległości od świata cywilizowanego i braku komunikacji. Nie mówię już o tym, że – jak na razie – misja będzie zdana na własne siły, jeśli chodzi o sprawy materialne. Myślę jednak, że wśród polskich Współbraci znajdą się tacy, którym napotymane trudności dodają energii do działania, i którzy gotowi są na całkowite poświęcenie.

Obiecał mi też ks. Velasco, że kto przyjedzie do współpracy ze mną, od razu, bez kwarantanny językowej, będzie mógł udać się do dżungli. Gdyby okazało się, że warunki nie odpowiadają, można zawsze uzyskać przeniesienie do Inspektorii do pracy w jakimś Zakładzie [...]»<sup>13</sup>.

Misja musiała być niezależna finansowo. Temu służyła akcja informacyjna w Polsce, organizowana przez ks. Zdzisława Paszendę, proboszcza w Orzegowie w diecezji katowickiej, dokąd ks. Wojciech przesyłał swoje „Wieści z nad Orinoko”. Tam były powielane w 200 egzemplarzach i rozsyłane zainteresowanym. W 1973 r. ukazało się pięć numerów „Wieści”, w 1974 r. tylko dwa<sup>14</sup>. W Orzegowie już wcześniej powstała „centrala” zbiórek pieniędzy, leków i materiałów potrzebnych misjom, oraz wysyłania ich do Wenezueli poprzez konsulat w Caracas.

Ksiądz Wojciech zorganizował też kwestę w Caracas wśród Polonii i w różnych urzędach. Zawiódł się mocno. Jedyne pozytywne oddźwięk znalazł w polskiej ambasadzie i u biskupa w Puerto Ayacucho.

„A oto podsumowanie ostatecznych wyników. Ksiądz Biskup Wikariatu Apostolskiego, któremu podlegają nasze misje, zapłacił mi równowartość motoru do kanoy (dał mi też stary kielich do Mszy św., żebym nie konsekrował w szklance, jak to zapowiadałem). Podobną kwotę zebrałem w Kolegiach Salezjańskich, w ogromnej większości w Niższym Seminarium Duchownym, gdzie poprzednio pracowałem, choć i ono ma problemy bytowe. Tyle samo darował mi też najbo-

<sup>12</sup> *List okólny*, 27 XI 1972, „Nostra”, 28 (1973), nr 1, s. 18–21.

<sup>13</sup> List do ks. inspektora Augustyna Dziędziela, listopad 1972, „Nostra”, 28 (1973), nr 1, s. 17–18

<sup>14</sup> 1/73 – Okamo, 27 I; 2/73 – Platanal, 1 IV; 3/73 – Los Teques, 25 VII; 4/73 – El Platanal, 20 IX; 5/73 – El Platanal, 6 XI; 1/74 – El Platanal, 5 II; 2/74 – El Platanal, 15 III.

gatszy Polak w Wenezueli. Reszta ofiar od Polonii starczyła mi na »por puesto« (zastępuje ono w Wenezueli tramwaj).

Do Orzegowa posłałem wstępne »zapotrzebowanie«. Najbardziej potrzebne są nam maczety i siekiery. Maczet (noże wielkości szabli) w Polsce się nie używa, a siekiery ze względu na ciężar nie nadają się do tak dalekiego transportu. Wybrałem więc następujące artykuły, kierując się głównie różnicą w cenach: 1. Noże (nie stołowe). 2. Igły. 3. Nici. 4. Lusterka. 5. Mydło do prania. 6. Zapalki. 7. Łyżki. 8. Paciorki do robienia koralu (jak najdrobniejsze). 9. Czerwony materiał na „guayuco” (opaski na biodra). 10. Mocny materiał do wyrobu hamaków. Wszystko w dużych ilościach (setki lub tysiące sztuk). O inne artykuły, których ceny w Wenezueli nie są zbyt wygórowane, będę starał się na miejscu”<sup>15</sup>.

„W sam dzień św. Jana Bosko 31 stycznia dokonałem w Okamo wraz z ks. Aleksandrem Bisem otwarcia trzech wielkich skrzyń, jakie nadeszły z Polski dla naszych misji za pośrednictwem Ambasady PRL w Caracas.

W Orzegowie przygotowywano już następny transport. Zawartością otrzymanego transportu jestem zachwycony. Martwiłem się, gdy transport długo nie nadchodził. Ale teraz cieszę się z tej zwłoki. Gdybym otrzymał tę przesyłkę przed pół rokiem, pewnie już by mi z niej nic nie zostało. A właśnie teraz będą mi te rzeczy najbardziej potrzebne. Zaraz wytłumaczę rzecz.

Po roku pobytu w dżungli uzyskałem zezwolenie przełożonych na samodzielną pracę wśród Indian żyjących poza naszymi placówkami misyjnymi. Ale samym zezwoleniem niczego się nie działo. Przygotowania rozpocząłem od kursu medycznego, praktyki w szpitalu i upokarzającej żebraniny w Caracas. O tym było w „Wieściach” nr 1/73. Zajęło mi to pół roku: od lipca do końca grudnia 1972. Przez pierwsze miesiące roku 1973 wyglądałem chmurki na niebie. Była susza, która objęła wiele krajów Ameryki Południowej, a nam unieruchomiła niemal całkowicie żeglugę po górnym Orinoko. Dokonałem tylko jednego: nauczyłem się, a raczej odważyłem się na prowadzenie motoru (łodzi z doczepionym motorem). Prowadzenie motoru jest bajecznie łatwe, bez porównania łatwiejsze niż jazda motocyklem, można by je zaliczyć do kategorii prowadzenia wózków dziecięcych. Cała sztuka polega na tym, by wiedzieć, którędy płynąć, by odgadnąć, gdzie pod powierzchnią nieprzejrzystej brązowawej wody znajduje się mielizna, gdzie głaz, gdzie pień lub gałąź zwalonego drzewa, niesionego z prądem. Dlatego misjonarze nie kwapią się do steru. Wśród księży pracujących na terytorium yanomamō przede mną tylko ks. Cocco nauczył się tej sztuki i w ciągu kilkunastu lat praktyki doszedł do znacznej perfekcji.

Wreszcie w maju wybrałem się na pierwszą próbną wyprawę zakończoną malarią i odstawieniem mnie do Caracas. („Wieści” 3/73) Po wylizaniu się z malarii odbyłem najdalszą, jak dotąd, wyprawę. Rezultat: wywrotka na rzece i powrót do domu bez portek. („Wieści” 4/73) Trzeba było znowu jechać do stolicy, by skom-

<sup>15</sup> Por. „Wieści znad Orinoko”, Okamo, 27 I 1973.

pletować wyposażenie. Potem parę mniejszych wypraw, z których jedną z siostrami, opisałem we „Wieściach” 5/73. (Przy okazji oświadczam, że w ubiegłym roku wypociłem 5 numerów „Wieści”). Cel tych wypraw? Zapoznanie się z terenem. Dokonałem tego jak na tutejsze warunki, szybko, zwłaszcza, że los niezbyt mi sprzyjał. Geografię mam więc z grubsza opanowaną. Teraz zacznie się historia.

Umyśliłem sobie zacząć ją od postawienia sobie dachu nad głową w tych stronach, w których chcę pracować. Celowo nie wybrałem żadnej osady indiańskiej. Gdybym osiedlił się przy jakimś „szabono”, moja postawa byłaby tym samym jednoznacznie określona: przyjaciel tych, wśród których mieszka, a nieprzyjaciel ich wrogów. Wybrałem miejsce niezamieszkałe, ale znajdujące się w centrum kilku osad. Tam postawię sobie domek, bym miał gdzie złożyć swoje »matki«, i stamtąd będę udawał się do osad indiańskich. Dla mnie ogromne ułatwienie: będę zabierał jadąc do Indian, tylko to, co w tej chwili konieczne.

Wybrałem miejsce nie tylko strategiczne ze względu na osady indiańskie, ale ponadto urocze i praktyczne. Leży nad dopływem Orinoko, zwanym Orinokito. Orinokito wpływa do Orinoko blisko tak zwanego Penascal (zapory naturalnej, umożliwiającej dalszą żeglugę, o czym już tyle razy pisałem). Przez Indian Yanomamö jest zwane Machekodo-u i jest uważane za główną rzekę. Przebycie stu kilkudziesięciu kilometrów z Platanalu do Orinokito zajęło nam dwa dni.

Indianie Yanomamo nie umieją budować domów zamkniętych (o ich budownictwie napiszę innym razem.) Wziąłem więc sobie do pomocy człowieka nazwiskiem Payua, który od paru miesięcy mieszka w Platanalu wraz z ojcem, żoną i sześciorgiem dzieci. Wywodzi się z Indian Baniwa znad Rio Negro, prawie zupełnie wytępionych przez naszą cywilizację. Payua jest pracowity i zręczny. Doskonale orientuje się na rzece i pewną ręką prowadzi motor. Zna się też dobrze na tutejszym systemie budownictwa.

W ciągu pięciu dni pracy wykarczowaliśmy teren pod budowę i doprowadziliśmy do końca stawianie więźby. (Cała wyprawa zajęła 10 dni; 2 dni podróży tam i 1 dzień z powrotem, 1 dzień przeprowadzania Indian, 1 niedziela). Indianie sprawowali się dobrze. Byli zadowoleni z otrzymanego wynagrodzenia w postaci siekier, maczet, garnków aluminiowych z pałakiem, noży, nożyczek, zapalek, lusterek, grzebieni, paciorków, guayuko, mydła itp. Każdy wybierał to, na co miał ochotę, ale w ograniczonej ilości. Nikt nie zgłaszał pretensji do mojej interpretacji zasady »każdemu według pracy« [...].

Co ja właściwie robię na tych misjach? Dotąd zajmowałem się poznawaniem okolicy, czyli zrobiłem geografię terenu między Platanalem a Penascalem. W tym roku rozpocząłem realizację planu, którego ramy przedstawiają się następująco:

1. Pozyskanie zaufania Indian – czas: 1 pokolenie czyli 25 lat. Ksiądz Cocco pracował nieprzerwanie 15 lat w tej samej osadzie. Owszem, mieszkańcy Okamo darzą go zaufaniem. Ale jeszcze przed półtora rokiem Indianie z innej osady odwiedzanej często przez ks. Cocco chcieli go zabić. Ja zamierzam pozyskać zaufanie Indian nie podarunkami, ale daniem im pracy i tym samym możliwo-

ści nabycia przedmiotów ułatwiających im życie. Nie będę dostarczał im żadnych artykułów żywnościowych, bo te można uzyskać uprawiając ziemię. Inaczej przeobraziliby się w proletariats, którego kraje kapitalistyczne mają już i tak nadmiar.

2. Oduczenie Indian używania pięciu podstawowych czasowników: ja ochi (jestem głodny), ja puchi (ja chcę), ja chani (ja nie mam, a potrzebuję), a także chiyu (daj mi), namaicha (podaruj) i zastąpienie ich jednym wyrazem ja ochatmapo (chcę pracować) – 2 pokolenia, czyli 50 lat.
3. Przyzwyczajenie Indian do racjonalnego zażywania leków i stosowania się do wskazań lekarza (pielęgniarsza) – 2 pokolenia, czyli 50 lat.
4. Nauczanie Indian higieny osobistej – 3 pokolenia, czyli 75 lat.
5. Poszerzenie kultury rolnej o nowe rośliny uprawne – 2 pokolenia, czyli 50 lat.
6. Wprowadzenie powszechnego nauczania w zakresie szkoły podstawowej (choćby 4 letniej) – 4 pokolenia, czyli 100 lat.
7. Wykorzenienie zabobonów i wpojenie zasad religii chrześcijańskiej – 6 pokoleń czyli 150 lat.

Resztę zostawię moim następcom. Jestem optymistą, bo chcę dokonać tyle w ciągu zaledwie 500 lat, choć do Polski przybywali misjonarze przed tysiącleciem, a jeszcze zachowały się zabobony, wiara jest powierzchowna, do niedawna zaś notowano analfabetyzm. Co więcej, optymistycznie twierdzą, że cykl pracy da się w pewnym stopniu skrócić np. wprowadzając uprawę kukurydzy i równocześnie ucząc tabliczki mnożenia. Co niecierpliwi mogą już za jakieś 50 lat pytać mnie o pierwsze wyniki pracy<sup>16</sup>.

Entuzjazm pracy i realizację planów pokrzyżowała malaria. Zachorował na nią nie pierwszy raz. Jeszcze w początkach pracy nad Orinoko pisał do krewnych: „Gdyby mój towarzysz, padre Gonzalez, pisał ten list, zaraz na wstępie skarżyłby na mnie, że nie jem. Jest to, rzecz jasna, gruba przesada. Jak można żyć bez jedzenia? Ale prawdą jest, że na to, co i ile zjadam, to stanowczo zbyt dobrze się czuję. Padre Gonzalez i inni straszają mnie malarią, a pewnie nie wiedzą, że ja już od dawna zaniechałem profilaktycznego zażywania pastylek przeciw malarii. Te pastylki to silna trucizna. Misjonarz z Mavaka opowiadał mi, że jedną dawką 4-ech pastylek otruwał psa. Po co truć się i niszczyć organizm w imię uniknięcia ewentualnej choroby? Zwłaszcza, że chorują nawet ci, którzy twierdzą, że regularnie zażywają pastylki [...] Niedawno, indagowany przez ks. biskupa, przyznałem się, że już od pół roku nie miałem w ustach leku przeciw malarii, ale mnie nie ekskomunikował<sup>17</sup>”.

<sup>16</sup> „Wieści znad Orinoko”, El Platnal, 5 II 1974 r.

<sup>17</sup> *List okólny*, El Platnal, 14 V 1972 r.

Kończąc w marcu 1974 r. ostatnie już „Wieści znad Orinoko” (2/74) na pytanie, czy mogłyby być krótsze a częstsze, odpowiedział: – „Już są niezaprzeczalnie krótsze. A byłyby napisane wcześniej, gdyby nie znowu ta malaria”<sup>18</sup>.

To szarżowanie skończyło się tragicznie. Odwieziono go do szpitala w Caracas a potem na dalsze leczenie i wypoczynek musiał pojechać do Polski. Po powrocie z dłuższego urlopu w ojczyźnie pisał do ks. inspektora Dziędziela:

„Gdy żegnałem Polskę (9 XI 1974 r.), wracając po urlopie do Wenezueli, nie wiedziałem, że również będę musiał pożegnać Orinoko [...]”.

Naprzykrzały mi się wspomnienia licznych dyskusji na temat, czy jest sens pracować wśród Indian Yanomamö, skoro chrzczyć ich jeszcze nie można, i czy nie należałoby raczej udać się tam, gdzie wśród chrześcijan brak kapłanów do posługi duchowej? Ja jestem mocno przekonany o sensowności poświęcenia się dla Yanomamö. Byłem jednak zadowolony, gdy ks. biskup polecił mi spędzić okres Bożego Narodzenia w Maroa, pozbawionej duszpasterza osadzie nad Rio Negro. Spodziewałem się, że tam odżyję psychicznie. A po świętach udam się z nowym zapalem nad Orinoko.

[...] Gdy zdawałem ks. biskupowi sprawę z sytuacji w Maroa, dowiedziałem się, że obsadzenie tej placówki jest już postanowione. To właśnie ja mam się tam udać. Posmutniałem na myśl, że będę musiał rozstać się z moimi Yanomamö, że trzeba będzie pożegnać Orinoko. Przykro jest rezygnować z planów, którymi się żyło. Ale nie ma wątpliwości: w Maroa jestem bardziej potrzebny. Na moje miejsce nad Orinoko nikt nie pójdzie. Brak personelu. Założenie nowej misji wśród Yanomamö trzeba powierzyć dalszej przyszłości.

W Maroa czeka mnie zupełnie inna praca niż nad Orinoko, podobna raczej do pracy w bardzo a bardzo zaniedbanej parafii [...]”<sup>19</sup>.

Po czterech latach pracy nad Rio Negro ks. Wojciech wrócił jeszcze nad Orinoko do La Esmeralda (1978–1980), gdzie salezjanie stworzyli szkołę i internat początkowo dla dzieci Janomami, z czasem zaczęto przyjmować także dzieci z różnych szczepów indiańskich z Amazonii Wenezuelskiej. Od lat pracuje tam starszy już ks. Aleksander Bis. Nad Rio Negro, tym razem do stolicy Amazonii, do Puerto Ayacucho wrócił ks. Wojciech w 1981 r., skąd w 1984 r., przeniesiono go do Domu Generalnego w Rzymie. Po dwóch latach wrócił jeszcze do Wenezueli, ale do ukochanych Janomami nie wrócił już nigdy. Schorowany powrócił w 1996 r. do Polski, gdzie w 1998 r. zmarł w Oświęcimiu. Jego pracę nad Orinoko kontynuuje ks. Dariusz Łodziana, który od trzech lat samotnie pracuje wśród Janomami nad Orinoko w Mavakita koło El Platanal<sup>20</sup>.

<sup>18</sup> „Wieści znad Orinoko”, El Platanal, 15 III 1974 r.

<sup>19</sup> „List z Wenezueli”, Caracas, 6 III 1975, „Nostra”, 30 (1975), nr 4, s. 62–68.

<sup>20</sup> Por. List do ks. S. Szmida z 16 I 2003 r.

**Nota o Autorze:** ks. mgr **STANISŁAW SZMIDT SDB** – wykładowca języków klasycznych w WSD Towarzystwa Salezjańskiego w Łodzi. Autor licznych publikacji popularyzujących salezjańskie misje zagraniczne.

**Słowa kluczowe:** Orinoko; misje zagraniczne; salezianie; Wojciech S. Paszenda; Janomami.